

(c) Małgorzata Domagalik, Janusz L. Wiśniewski: „188 dni i nocy”, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa

„... Pewien młody biedny lekarz ze Sztumu, który skończył studia w Gdańsku, przyjechał na praktykę do Getyngi. Na sześć miesięcy. Do kliniki. Lekarz kochał pewną Agnieszkę z Gdyni. Bardzo kochał. Pisał do niej listy. Dzwonił. Praktykując, czekał na powrót. Agnieszka z Gdyni nie czekała, nie pisała i nie telefonowała. Napisała tylko raz. Po miesiącu. Że odchodzi od niego.

Lekarz stracił sens życia.

Zaczął chodzić po górach w nadziei, że spadnie, latać na motolotni w nadziei, że silnik zawiedzie. Skakać ze spadochronem, w nadziei, że ten się nie otworzy. Miał pecha. Nie spadał w Alpach i Himalajach, silnik nie zawodził, a spadochrony zawsze się otwierały. Jedyne, co zauważył, to to, że w czasie lotu na motolotni i ze spadochronem, wiatr genialnie osusza ły.

Był dobrym, zrozpaczonym lekarzem.

Nie chciał wracać do Polski. Został w Getyndze. Przeczytał w gazecie, że poszukują lekarzy. Do szpitala dziecięcego. Do dzieci terminalnie chorych na raka. Koło Heidelbergu.

Wszystko, o czym można marzyć: śliczny, nowoczesny szklany dom w parku, tomograf SPIN i tomograf NMR, dwie sale operacyjne, helikopter do dyspozycji. Mieszkanie obok. Duże pieniądze. Etat do śmierci. Sale nasłonecznione. Kolorowe. Obok hotel dla rodziców. Sufity pokryte obrazami. Miś Puchatek, Myszka Miki, Simpsonowie...

W takich szpitalach obrazy są na suficie, a nie na ścianach, bowiem dzieci w większości ciągle leżą i nie mają nawet siły patrzeć na boki. Operuje się w najnowocześniejszych blokach operacyjnych. I bada za pomocą najnowocześniejszych urządzeń. Tylko po to, aby dowiedzieć się, czy to miesiąc, czy może jednak 45 dni.

Najważniejszym miejscem i tak nie jest w tym szpitalu tomograf. Najważniejszym miejscem jest kaplica. Na początku rodzice tam nie chodzą. Ale pod koniec są tam wszyscy. Duża, przestronna, nasłoneczniona sala. Pod krzyżem duża, metalowa tablica. Aby magnesem przypiąć do tej tablicy swoje pożegnanie. A przy wejściu do kliniki, zaraz za automatycznymi drzwiami jest inna tablica. Wcale nie magnetyczna. Zwykła korkowa. A na niej kolorowymi szpilkami przypięte są kartki. Stajesz i czytasz, kogo pożegnano ostatniej nocy. Obok kartek z imieniem i nazwiskiem są małe metalowe druciane koszyki przybite do tablicy gwoździem. A w każdym takim koszyku jest pluszowy misio albo lalka, albo nie ma nic. Gdy nie ma nic, to jest szczęśliwy dzień w tym szpitalu. Młody lekarz ze Sztumu, którego opuściła kobieta z Gdyni, już nie musi latać na motolotni. Nie chce już latać.

Nie jest szczęśliwy. Ale jest potrzebny. Znam go.

*Serdecznie*

*JLW*

...”